Rok 1898. Lwów, dnia 7. listopada. Nr. 44.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

JAN PIETRZYCKI.

P O E Z J E.

Burza.

Czy słyszysz? surmy rożdźwiękły bojowe...
Tysiące koni i jeźdźców tysiące
Ciągną ku niebu... Szyszaki stalowe,
Szeleszczą skrzydła hussarji błyszczące —
Czy słyszysz? surmy rozdźwiękły bojowe...

I ziemia dudni i łamią się drzewa
I grom za gromem w doliny wpada,
Śmierci dziewica przesuwa się blada,
A wkoło wichry, a wkoło ulewa
I ziemia dndni i łamią się drzewa.

. . . .

Czy słyszysz?.,. surmy konają bojowe...
Tam jeszcze tętent dochodzi z oddali,
Tam jeszcze błysły szyszaki stalowe...
I tyko wicher po boru się żali,
Tylko bór z smutkiem pochyla swą głowę...

W BLASKU KSIĘŻYCA.

I.

Niebo gwiaździsty rzuciwszy deszcz złota,
Zalotnie gazą otula się białą...
W toni rozkoszy pogrąży swe ciało
Namiętna Wenus, bogini, pustota.

Za przeźroczystą osłoną firanek,
Na zarzuconej różami pościeli
Wśród białych puchów ciał dwoje się bieli —
Kochankę tnli do łona kochanek.

Żar pocałunków rozpalił im lica,
Dłonie się drżące złączyły w uściskn —
Przez okno blaski wtargnęły księżyca...

Złoty monarcha w gwiazd uroczysku
Spojrzał — i chwilę przystanął w zadumie.
— On tylko świeci, lecz kochać nie umie...

II.

Popłynął dalej... śród murów klasztoru
Wzrokiem odpoczął... Wysoko na chórze
Z okna spoglądał zakonnik w kapturze,
Słuchając cichej muzyki wieczoru.

Słowicze głosy tętniły od boru,
W tchnieniu wietrzyków szeptały coś róże —
I blnszcz zielony szeleścił po mnrze,
Po białym murze cichego klasztoru.

Słuchał zakonnik... twarz nagle mu zbladła
I wspomnień w duszy zbndziło się echo,
Na czarny habit gorąca łza spadła ..

Uczuł, że jarzmo go jakieś przygniata,
Że i modlitwa dlań nie jest pociechą...
Biedny!... raz pierwszy zatęsknił do świata...

Baśń.

Od rusałek i odalisk
Szła w czarownic dzikie koło
Snem owiana, staroświecka,
Nienchwytna baśń tęczowa...

Na rozsypach czarnych zwalisk
Pochylała smętne czoło —
Aż przelana w pieśni słowa
Utonęła — w sercu dziecka.

Łza.

Przez żądz rwących tortury, bolów otchłań ciemną,
Przez trupy moich marzeń i słońca gasnące
Szłaś mi wierna i stała, skojarzona ze mną,
Na twarzy pocałunki składając gorące.

Nigdy mnie nie odbiegłaś, nawet na czas krótki —
I byłaś mi kochanką, co serca zna tętno,
Co blednie, jeśli ujrzy lubego twarz smętną —
I byłaś dla mnie matką, co dziecka zna smutki.

Kiedym męką pijany po życia padł trudzie,
Kiedy dusza śród łona konała mi biedna,
Kiedy wszyscy odbiegli — i niebo i ludzie —
Tyś mi jedna została, łzo moja — ty jedna!

IZYDOR KUNCEWICZ.

HEKTOR.

HUMORESKA.

Lwów, 25. maja.

Kochany przyjacielu! Zazdroszczę Ci, że używasz tam wśród gór i zieleni, podczas gdy ja jeszcze przez miesiąc dławić się muszę wapiennym kurzem, zanim urlop rozpocznę. Pociesza mnie jedno, że mój poczciwy Hektor używa tam wraz z Tobą. Wprawdzie okrutnie mi go tu brak, bo jak wiesz, nie mam — oprócz Ciebie — żadnej zresztą istoty, na którejby mi tak zależało jak na nim, ale cóż robić!

Ja się tu nudzę okropnie. Wszak wiesz, z nikim prawie nie żyję. Tyle mojej rozrywki, że czasem zaglądnę do teatru; zresztą, spaceruję po parku, po wałach, po Zamku. . Onegdaj byłem u Grunda. Ot, życie starego, znudzonego ludźmi i światem kawalera.

W szarzyźnie tej, miłą niespodzianką było dla mnie spotkanie, jakie miałem dziś rano Wstałem nieco później niż zwykle, więc przed biurem, zamiast do parku, poszedłem do jezuickiego ogrodu. Zaledwie przeszedłem kilka ścieżek, gdy uwagę moją zwróciła samotna, w półżałobę przybrana kobieta. Widzę, jak się uśmiechasz... Ja, i kobieta!... Ale było w tej kobiecie coś dziwnego, co mię zaintrygowało. Usiadłem na pustej ławeczce i postanowiłem ją śledzić z daleka. Wyobraź sobie jednak moje zdumienie, gdy spostrzegłem, że ta piękna dama (jest naprawdę piękna!) zbliża się do mnie i siada tuż obok.

— Czy wolno? — zapytała, uśmiechając się lekko.

— Proszę bardzo — odpowiedziałem i usunąłem się na drugi koniec ławki.

Z podełba spojrzałem na moją sąsiadkę i był moment, że miałem ją, ot, za zwykłą awanturnicę...

Chciałem już wstać i odejść, gdy nagle słyszę, że znów do mnie przemawia.

— Czy nie byłby pan łaskaw przyjrzeć mi się uważniej?... — rzecze, przechylając filuternie w bok główkę.

Naturalnie, przyjrzałem się jej uważniej — no, i wiesz kto to był?... Panna Zosia Górniewka, a raczej, niegdyś panna Zosia Górniewka, o której ci kilka razy opowiadałem, a z którą się przed kilku laty, tak świetnie na wieczorkach bawiłem. Aż mi dziw, że jej odrazu nie poznałem, choć co prawda, nie widziałem jej lat może siedm i trochę się zmieniła. Przytyła...

Wyszła była za mąż na wieś, za obywatela, a obecnie, od półtora roku jest wdową. O ile z kilku jej zdań wywnioskować mogłem, nie musiała być z mężem bardzo szczęśliwa, ma jednak córeczkę trzyletnią, której także Zosia na imię. Obiecała, że mi ją kiedyś w ogrodzie zaprezentuje bo bywa tam co rana. Pije wody.

Prosiła mię także, abym ją odwiedził. Mieszka z matką i córeczką. Być może, że pójdę kiedy do nich, podczas słoty...

Na tem mój list kończę, bo już jedenasta i spać mi się chce kaducznie.

A pamiętaj, uważaj mi na Hektora!

Dobranoc —

Jerzy.

Lwów, 27. maja.

Przeklęte niech będą wszystkie gazety! Wczoraj wieczór czytałem o jakiejś sprawie kryminalnej o zabicie psa, który rzekomo szkodę robił w lesie, w dodatku zjadłem na kolację trochę zawiele rydzów do polędwicy i — całą noc sny najokropniejsze miałem. Śniło mi się, że mój Hektor uganiał za jakimś krasym kotem po wsi, potłukł garnki wiszące na płocie, a szkaradna, stara baba biła go za to ożogiem. Skomlał biedaczysko tak żałośnie, że aż się obudziłem z desperacji ..

Bój się Boga, pilnuj go jak w głowie — bo gdyby mu się co złego stało, jabym chyba tego nie przeżył! Strzeż go zwłaszcza przed wiejskim rodem niewieścim. Ja tam zabobonny nie jestem i w sny nie wierzę, lecz od dzisiejszej nocy mam abominację do tych wiedźm, co ożóg zawsze mają pod ręką...

Odpisz mi natychmiast, co się dzieje z Hektorem.

Jerzy.

Lwów, 1. czerwca.

Kochany przyjacielu! List Twój uspokoił mnie co do Hektora, lecz swoją drogą niebardzo mi się podoba co piszesz o jego konfidencjach z wiejskiemi — psiego rodu zalotnicami. Nie lubię mezaljansów .. choć z drugiej strony, nawet ludzie miewają nieraz psie fantazje, dlaczegóżby nie miał sobie pozwolić na ten zbytek pies z krwi i kości? Uważaj tylko na niego przy tem wszystkiem, bo niebardzo ufam domorosłym psim Otellom tamtejszym.

Ja żyję tu po dawnemu, i nic nie ma nowego, chyba to, że onegdaj byłem u nich z wizytą. Nie miałem co robić, więc poszedłem. Bardzo mili ludzie, a mała Zosia to wprost zachwycający bebak. Nic się mnie nie boi. Dała się wziąć odrazu na kolana i mówi do mnie: wujciu. Dziś rano była z matką w ogrodzie i cały czas trzymała się mojej ręki.

Bardzo mi przyjemnie w towarzystwie tego dzieciaka i pani Zofji. Patrząc na tę ostatnią, przypominają mi się dawne czasy i zdaje mi się, żem młodszy. Gdy będę miał czas, pójdę znów do nich...

Pozdrawiam Cię, stary —

Twój

Jerzy.

Lwów, 5. czerwca.

Północ, spokój, przez odchylone okno widzę nad Karmelitami pyzatą twarz księżyca. Właśnie wróciłem od nich i jestem trochę rozmarzony.

Poznałem tam niejakiego pana Malińskiego, dalekiego kuzyna nieboszczyka męża pani Zofji, także hreczkosieja. Zdaje mi się, że się ma do niej. No, nic dziwnego, wdówka młoda, piękna i — o ile wiem — niebiedna. Wątpię wszakże, aby był chleb z tej mąki, bo przez cały wieczór prawie żadnej na niego nie zwracała uwagi. Literalnie ze mną tylko rozmawiała... Jak ona umie prowadzić rozmowę, a jak słucha! Opowiadałem jej o mojem życiu, o Hektorze, o Tobie... Bardzo ją wszystko zajmowało. Po herbacie grała na

fortepianie, a ja siedziałem tuż przy niej. (Widziałem, że pan Maliński był z tego mocno niekontent!) Rozmawialiśmy o rzeczach poważnych. Nie uwierzyłbyś jakie ta kobieta ma wytrawne zapatrywania, jak przytem ani krzty egoizmu nie ma w jej duszy, jak szlachetny jest jej sposób myślenia! Altruistka, czysta altruistka!

Naprawdę jestem dziś rozmarzony.... Tylko, nie rób zaraz niedorzecznych przypuszczeń... Pani Zofja podoba mi się bardzo, ale żeby aż do tego stopnia... Nie! Byłem zawsze i jestem wierny mym zasadom, drogo praktyką życia okupionym!

Ściskam Cię —

Jerzy.

P. S. Co robi Hektor?

Lwów, 10. czerwca.

Wracam w tej chwili z wycieczki do Janowa. Rozumie się, byliśmy tam w całem towarzystwie, t. z. pani Zofja, jej matka, mała Zosia, ja i ten biedny Maliński... Wiesz, żal mi tego człowieka... Jest najformalniej zadurzony w pani Zofji, a ona, nawet patrzyć nie chce na niego, choć mężczyzna co się zowie, młody i — jak mi mówiono — również niebiedny. Musi mieć jednak do niego pani Zofja jakąś urazę... Sam dziś słyszałem przypadkiem, jak mu powiedziała:

— Nie, mój panie, ja nie przebaczam tak prędko...

Szczerze mi żal biedaka, choć patrzy na mnie, jak pies na dziada. Mało nie rzucił się na mnie (z miny mu to wyczytałem), gdy pani Zofja wyjąwszy z pęku niezapominajek — które dla niej nad stawem zerwałem — kilka, przypięła mi je własnoręcznie do klapy surduta.

Nie masz pojęcia, jak ta kobieta umie obchodzić się z ludźmi! Jestem silnie przekonany, że jako istota wyjątkowa, odczuwa i rozumie bardzo dobrze wartość każdego człowieka, którego pozna bliżej... Wobec tego zaś (nie byłem nigdy zarozumiały, ty wiesz o tem najlepiej), nie dziwię się jej i jeszcze raz powtarzam: szczerze żal mi tego Malińskiego!...

Nie, stary, ty nie masz pojęcia jakie mi od pewnego czasu erotyczno-warjackie myśli chodzą po głowie!

Mniejsza o to zresztą. Bądź zdrów i trzymaj się ciepło.

Twój

Jerzy.

Lwów, 12. czerwca.

Mój drogi — kości rzucone! Dzisiejsza poranna rozmowa z panią Zofją w ogrodzie sprawiła, że zdecydowałem się zbyć mego „skarbu“, czyli jak ty nazwiesz, popełnić szaleństwo.

Przy pożegnaniu objawiła mi, że około dwudziestego wyjeżdża wraz z matką do Krynicy na całe lato. W pierwszej chwili dotknęło mię to niemile, bo chociaż właśnie dwudziestego i mój się urlop rozpoczyna i wyjechać mógłbym za nią również do Krynicy, to przecież rozumiem, że na razie, wobec niezdeklarowanego mego względem niej stanowiska, uczynić mi tego, bez kompromitowania jej, nie wypada. Gdy wyraziłem te skrupuły — naturalnie, w formie bardzo oględnej — pani Zofja uśmiechnęła się tajemniczo i pobłażliwie zarazem.

— Jestem pewna, że zanim odjadę, wzajemny nasz względem siebie stosunek ułoży się już w ten sposób, że bez gorszenia kogokolwiek będziesz pan mógł odwiedzać nas w Krynicy choćby codziennie.. — rzekła mi na odchodnem, zatrzymując przytem swą rączkę nieco dłużej w mej dłoni.

Czy ty to rozumiesz?!...

Mógłbym się choćby dzisiaj oświadczyć i z pewnością koszabym nie dostał.

Chciałbym, abyś tu był i widział, jak jestem szczęśliwy.

Jerzy.

P. S. Bardzo mi przykro, że Hektor — jak mi donosisz — tak kiepsko wyszedł na swoich zalecankach i że go tak sromotnie oporządziły zazdrosne wiejskie kundysy. Bardzo mi go żal, ale cóż na to poradzę!

Lwów, 14. czerwca.

Człowieku, czyś ty oszalał?! Teraz, gdy ja jestem w przededniu oświadczyn, zaręczyn, wyjazdu do Krynicy, Bóg nie wie czego, ty mi chcesz tu Hektora na kark wpakować?!

Powiadasz, że nigdzie w pobliżu nie ma weterynarza i boisz się, aby nie zdechł z ran odniesionych? Czyś się wściekł?... Tysiące psów się po wsiach żeni i żre między sobą bez weterynarza, a żaden jeszcze życiem tego nie przypłacił!...

Dziś, lub jutro pęknie bomba.

Pani Zofia sprzyja mi nieodmiennie, a moje serce w swych uczuciach — niewzruszone...

Jerzy.

Lwów, 15. czerwca.

Kochany przyjacielu! Z dziwnem uczuciem biorę pióro do ręki. Nie mogę powiedzieć, abym był smutny, ale wesoły nie jestem również. Jakoś mi dziwnie i niewyraźnie...

Właściwie, nic się złego nie stało... Przed godziną, w samo południe, byłem u nich i skorzystawszy ze sposobności, oświadczyłem się solennie pani Zofji. Odpowiedziała, że nie zależy tylko od siebie, że ma pewne obowiązki, że musi się jeszcze namyśleć i t. d., i t. d....

Na zakończenie dodała z uśmiechem:

— Muszę się także zapytać pana Malińskiego, co on na to powie?...

Przypuszczam, że powiedziała to z umysłu, aby mnie trochę podrażnić.. Cóż robić!...

Nie wątpię, że przyczyną fatalnego humoru w jakim się znajduję, jest w znacznej mierze także poczucie, iż wczoraj postąpiłem sobie bardzo brzydko, wyrażając się w liście do Ciebie tak niepoczciwie o biednym Hektorze... Stare wierne psisko! Pokąsany, słaby, a ja mu jeszcze nawydziwiałem. Proszę Cię, pogłaskaj go odemnie. .

Pani Zofja obiecała mi dać respons stanowczy dziś, lub najpóźniej jutro.

Z głowy mi wyjść nie może, dlaczego ona chce pytać Malińskiego o pozwolenie?...

Pamiętaj, pogłaskaj odemnie Hektora!

Ściskam twą dłoń serdecznie —

Jerzy.

Lwów, 16. czerwca.

Mój najdroższy przyjacielu! Drżę z trwogi o Hektora, aby nie uległ swym ranom... Znowu miałem o nim sen bardzo kiepski; śniło mi się, że leżał niby człowiek na katafalku obstawionym świecami. Niech Pan Bóg uchowa!...

Od pani Zofji odebrałem respons (pisemny) jeszcze wczoraj popołudniu.

Moje zasady tryumfują! Żadnej kobiecie dowierzać nie można nigdy i pod żadnym warunkiem...

Że też ja dałem się wziąć na dawną znajomość, altruizm i słodkie słówka, jak wróbel na plewę!... Właściwie,

to nawet wróblem nie byłem, lecz tylko plewą, którą wróblowi Malińskiemu, na przynętę posypano...

Mniejsza o to! Jestem nawet kontent, że się tak stało, bo przekonałem się w ostatniej chwili, że mię serce co do swych uczuć zwodziło...

Obecnie o jednem już tylko myślę na świecie — o Hektorze...

Zapewne wraz z tym listem będę u Ciebie, bo przyśpieszyłem urlop i dziś jeszcze wyjeżdżam. Biorę z sobą weterynarza. Niech kosztuje, co chce, lecz Hektora bez ratunku nie zostawię...

Oczekujcie mnie —

Jerzy.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO.

Rok jubileuszowy autora trylogji historycznej rozpoczęła firma Gebethnera i Wolfa w Warszawie wydaniem osobnego albumu [1]), ilustrującego najcelniejsze kreacje jego znakomitego talentu. Henryk Sienkiewicz w swoich genjalnych utworach stworzył tyle postaci świetnych i nieporównanych, że wybór był nie łatwy; kreacje te żyją wśród nas, są to nasi doskonali znajomi, z którymi obcujemy za pan brat. To też artyści, którzy podjęli się przenieść je na papier, mieli zadanie trudne, każdy bowiem czytelnik, każdy wielbiciel Sienkiewicza, a tych liczy on na miljony, stanie jako krytyk surowy, a wezwawszy na świadka własną fantazję, ważyć będzie każdy najdrobniejszy rys postaci, która o wiele dawniej przybrała kształty w jego wyobraźni, zanim ją ujrzał ucieleśnioną ołówkiem artysty. Pomimo to przyznać trzeba, że strona ilustracyjna przedstawia się znakomicie i że — mojem zdaniem przynajmiej, ów plebiscyt krytyczny wypaść musi dla artystów pochlebnie. Ale bo też i przyznać trzeba, że dla uczczenia jubilata stanęli do apelu najznakomitsi nasi mistrzowie pendzla i ołówka. Józef Brandt, Józef Chełmoński, Antoni Kamieński, Juliusz Kossak, Wilhelm Kotarbiński, Kazimierz Pochwalski, Jan Rosen, Henryk Siemiradzki, Piotr Stachiewicz. Wincenty Wodzinowski — czyż można sobie wyobrazić grono lepiej dobrane do ilustrowania kreacyj Sienkiewiczowskich?

Przeważają w albumie postacie kobiece, a więc: Hania, Rzepowa, Marysia z „Zachlebem", Helena, kniahini Kurcewiczowa, Baśka, Oleńka, Anielka, Litka, pani Emilia, Marynia Pławicka i Liggia. Z tych pierwszeństwo dałbym stanowczo starej kniahini, miłemu hajduczkowi Baśce, wątłej Litce i nadziemskiej pani Emilji. Nie tylko w wyrazie twarzy, ale w każdym najdrobniejszym rysie widać jakby ucieleśnioną myśl autora. Zdaje się, że lada chwila, każda z nich wyjdzie z kartonu żywa, że przemówi swoim językiem i odsłoni duszę swą stworzoną przez Sienkiewicza.

Nie chcę bynajmiej ubliżać innym kreacjom, ale zdaje mi się, że niektóre z nich, szczególnie Oleńka, Anielka, Liggia grzeszą nieco konwencjonalnością.

Z pośród męskich postaci jeden J. Mć. pan Zagłoba miał szczęście uwiecznić swój konterfekt. Wprawdzie wydaje mi sie on rodzonym bratem Falstafa, ale moment kiedy „tokujący szlachcic" nad kuflem miodu wypowiada arcy-mądrą sentencję „wiedział Pan Bóg dlaczego pszczoły stworzył", jest uchwycony znakomicie.

Ze scen sienkiewiczowskich najsilniejsze wrażenie robi bitwa pod Klawanami. Ta masa skłębionych koni i ludzi, daje wyborne pojęcie o śmiertelnych zapasach, jakie z taką potęgą narysował autor w „Potopie". Rozmachany Bartek zwycięzca przypomina doskonale tego bohatera bezwiednej siły fizycznej i junactwa zaklętego w sarmackiej naturze. Kmicicowa kompania nie jest wprawdzie tak rozhukana, jak ją znamy z „Potopu", niemniej jednak nazwać ją można udatną. Scena w pracowni dogorywającego Kamionki oddaną została z poczuciem realnej i psychologicznej prawdy. Powiedzieć tego wcale nie można o śmierci Petroniusza. Para uśpionych dzieci wśród otoczenia dekoracyjnie narysowanego, nie daje nawet słabego pojęcia o tragedji, jaka się przed chwilą rozegrała.

Za treść objaśniającą ilustracje służą bardzo umiejętnie wyjęte ustępy z odnośnych utworów Sienkiewicza. Tym sposobem z łatwością przekonać się można, jak i czy artysta pojął genjalnego pisarza.

Na czele posiada album dwa arcydzieła, które pod względem wartości można postawić obok siebie — portret Sienkiewicza Pochwalskiego i przedmowę prof. Tarnowskiego. O potrecie rozpisywać się nie potrzeba. Znają go wszyscy. Właściwie nie jest to portret, ale Sienkiewicz sam *in corpore et anima*. Czeka się tylko kiedy powstanie z fotelu i przemówi. Co do przedmowy, to trzeba być takim znawcą i smakoszem Sienkiewicza, jakim jest prof. Tarnowski, aby kilkoma zaledwie rysami naszkicować przewyborny jego portret literacki. Pod względem wydawniczym album przedstawia się świetnie.

Tym, którzy jęli „tworzyć dziwne legendy i powoli wierzyć, jakoby pod płytą grobową paryskiego Montmorency umilkła na zawsze lira polska, jakoby z kresem tak zwanej Mickiewiczowskiej epoki miał się zbiegnąć kres — poezj polskiej", odpowiada umiejętnie wybranym zbiorem poezyj ostatniej doby Czesław Jankowski [2]). Wprawdzie wydana w r. 1885 „Antologia", a przedtem „Kwiaty rodzinne" (Gabrjeli) Narcyzy Żmichowskiej, zadawały kłam podobnym, zgoła bezpodstawnym przypuszczeniom, jednakże pokolenie współczesne, tak mało skłonne do uniesień poetyckich i tak wiele wsłuchane w tony liry, potrzebowało tego dowodu „ad oculos". Przekonać się ono może, iż — jak trafnie twierdzi Jankowski — „akordy pieśni Mickiewiczowskiej nie zdołały wybrzmieć jeszcze, a już pochwycili ją na lutnię swoją spadkobiercy nieśmiertelnej iskry Bożej. Buchnęły namiętne liryki Sowińskiego, popłynęła szeroka pieśń epiczna Deotymy, zamigotała brylantowa piosnka Asnyka, w takt kielni i młotu zabrzmiał śpiew „młodych", ozwał się kunsztowny głos Kono-

[1]) „Album jubileuszowe" Henryka Sienkiewicza. Główniejsze sceny i postacie z powieści i nowel Sienkiewicza w dwudziestu ilustracjach z wstępem krytycznym Stanisława hr. Tarnowskiego. Warszawa u Gebethnera i Wolfa. 1898.

[2]) „Młoda Polska w pieśni". wybór celniejszych poezyj ostatniej doby ułożył Czesław Jankowski. Warszawa u Gebethnera i Wolfa. 1898.

pnickiej, jęły sypać się błyskotliwe, misterne jak prawdziwych instrumentów tony, niebywałe zwrotki czcicieli formy — a mnogostrunny, orkiestralny chór podniósł się i *a tutte corde* wtór im dał. Rozległ się nowy akord polskiej pieśni, pełnią i świeżością dźwięków nie ustępujący pod niejednym względem nieśmiertelnym rapsodom i śpiewom złożonym już w skarbnicy swojskiego piśmiennictwa".

Długi szereg pieśniarzy po-mickiewiczowski, otwiera A. E. Odyniec, a kończą Tetmajer, Rydel, Szancer i inni. Do stworzenia dokładnego obrazu tego wieszczego dorobku nikt nie był bardziej powołany nad Czesława Jankowskiego. Sam poeta, wykwintny znawca formy, krytyk niepospolity, pisarz talentu, umiał wybrać to, co istotnie wyobraża „Młodą Polskę w pieśni". Wprawdzie w przedmowie skromny autor mówi, iż pragnie uzupełnić tylko wyborne dzieło Narc. Żmichowskiej, to jednak, co w swoim zbiorze daje, stanowi całość doskonałą. Sądzę też, że książka Czesława Jankowskiego stanie się *Vade mecum* każdej rodziny polskiej.

My, o przyprószonych dzisiaj siwizną głowach, pamiętamy jeszcze te czasy, kiedy każde niemal dziecko polskie umiało na pamięć „Śpiewy historyczne" [1]) Niemcewicza. Książka ta bowiem istniała wówczas tylko w pamięci naszej. Ja sam, jako najdroższą spuściznę przechowuję książkę, w której spoczywający już w mogile rodzice przyjście moje na świat powitali własnoręcznie przepisanemi śpiewami historycznemi. Na pożółkłej okładce widnieje napis: „Pamiątka rodziców dla jedynego syna". Obok tej świętej pamiątki leży przedemną mała, ozdobna książeczka, przeznaczona już dla wszystkich. Do głowy cisną się różne myśli, różne porównania, ponad niemi wszakże góruje jedno: aby jak niegdyś, była ta książka i dzisiaj drogą polskiemu dziecku!

W tej samej zewnętrznej szacie, co i poprzednia książka, wydano „Wybór pism" Zygmunta Krasińskiego [2]). Nie jest to wydanie kompletne, zawiera bowiem tylko: Nieboską komedję, Irydiona, Trzy myśli, Syna cieniów, Psalm wiary. Ułamek naśladowany z glosy św. Teresy, utwory poetyckie drobniejsze i wiersze różne. W każdym razie i ten mały skarbczyk otwiera na oścież do naszych domów drzwi wielkiemu poecie.

Ruch więc wydawniczy w r. 1898 zaczyna się dobrze.

Ig. Ch.

[1]) „Śpiewy historyczne", wydanie nowe, poprawione, według wyd. petersburskiego. Warszawa u Gebethnera i Wolfa.

[2]) Zygmunt Krasiński. Wybór pism. Warszawa u Gebethnera i Wolfa. 1898.

FR. ZWILKONSKI.

LAMPA ZGASŁA

Obraz dramatyczny.

Dokończenie.

WÓJCICKI. Wyczyścić...

JAN. Po nocy?!... także!...

WÓJCICKI. Jutro rano... A anglez gdzie?

JAN. A wisi tam na kołku.

WÓJCICKI. Jest... (oddając mu) Wyczyścić także...

JAN. Może pan na bal?

WÓJCICKI (z wzrastającą gorączką) A na bal... (zamykając szafę) Mole fraka nie pogryzły?...

JAN (oglądając frak) Nie widać...

WÓJCICKI. Wyczyśćcie jutro dobrze.

JAN. To się rozumie.

WÓJCICKI. A teraz chodźcie ze mną...

JAN (patrzy na niego jak na warjata).

WÓJCICKI. Co się tak na mnie patrzycie? Muszę się przejść. Czuję, że takie przejście się po galerji, po świeżem powietrzu, zrobi mi dobrze,.. No.. położźcie te rzeczy.. Chodźmy... (bierze kapelusz na głowę).

JAN (kręcąc niedowierzająco głową) A samowar?

WÓJCICKI. Wszystko jedno... (do powracającej Łanowskiej z uśmiechem). Przejdę się po galerji, to mi zrobi dobrze...

ŁANOWSKA. Bój się pan Boga! — wieczór!... jeszcze się pan zaziębi...

WÓJCICKI. E.. nie... nie... Trzy razy tam i na powrót... (wychodzi).

JAN. (przy drzwiach) Niech no pani w samowar dmuchnie bo mi zgaśnie...

ŁANOWSKA. Dobrze! dobrze!... Już idźcie! Pan gotów upaść!...

JAN. (wychodząc) Także mu się zachciało, spacerować, teraz!.. (wychodzi).

ŁANOWSKA. A to gałgan!.. (dwie małe paczki kładzie na stole, wyjmuje z kredensu czajnik, sypie z jednej paczki herbatę — później dmucha w samowar. Wchodzi doktor... Odwracając się od samowara). A, pan konsyliarz!..

DOKTOR. Moje uszanowanie, pani dobrodziejce...

ŁANOWSKA. Dobry wieczór, panu... (podaje mu rękę).

DOKTOR (rozglądając się). Gdzie nasz pacjent?...

ŁANOWSKA. Uparł się koniecznie przejść się po galerji.

DOKTOR. Sam?... (odkłada kapelusz i laskę).

ŁANOWSKA. Stróż jest przy nim.

DOKTOR. A, ten drab Jan!...

ŁANOWSKA (podając mu krzesło) Proszę, niech pan konsyliarz siada.

DOKTOR (siadając) I cóż, droga pani?

ŁANOWSKA (wzruszając ramionami) A czy ja wiem!.. Zdaje mi się, że jest coraz lepiej...

DOKTOR (z uśmiechem). Tak?... To dobrze, to dobrze...

ŁANOWSKA (patrząc mu w oczy) A co pan konsyliarz sądzi?...

DOKTOR. Co sądzę?... Pi!... nic nie sądzę...

ŁANOWSKA (powstając) Jakto?!

DOKTOR. A no tak... (wstając) Tak jest źle, że gorzej być nie może...

ŁANOWSKA. To tak!... Naprawdę panie konsyliarzu?...

DOKTOR. Naprawdę... Zresztą — pi!... mogę się mylić... Doktorzy są omylni.. (zbliżając się do niej, tajemniczo) Ale uważasz, pani — na tle influenzy — wada serca — ten kaszel — dziwne komplikacje — ruina...

ŁANOWSKA (z przejęciem). Ruina?!..

DOKTOR. Kompletna!... (chodzi).

ŁANOWSKA (p. ch.) Panie konsyliarzu, a on powiada, że się czuje znacznie lepiej... prawie zupełnie dobrze...

DOKTOR (z odpowiednim ruchem rąk) Co ja na to poradzę, moja pani?!...

ŁANOWSKA. Wyobraź pan sobie, że się chce gwałtem żenić.

DOKTOR. Z szanowną panią?

ŁANOWSKA. A broń Boże!... Z jedną z moich znajomych.

DOKTOR. No, to niech szanowna pani, oświadczy tej dobrej znajomej, że tu nie ma co o ślubie myśleć...

ŁANOWSKA (Patrzy smutnie na doktora, poczem ociera łzę).

DOKTOR Pst... wraca!.. Pi!... tak to bywa na świecie... (Otwiera drzwi. Wchodzi Wójcicki z Janem).

WÓJCICKI (z radością). A, doktor!... (ściskając go za rękę). Kochany konsyliarzu!... Daj Boże zdrowie, żeś pan o mnie nie zapomniał! (do Jana). Zapalcie lampę...

JAN. Dobrze... (staje przy stole i czyści lampę).

WÓJCICKI. Widzisz kochany panie konsyliarzu, zacna pani Łanowska, jakie to poczciwe serce odwiedza mnie chorego.

DOKTOR. To pięknie!...

ŁANOWSKA (przy samowarze). Jest o czem mówić!...

WÓJCICKI (siadając w fotelu). A jest!... Inna bałaby się o swoją opinię, nie chciałaby się trudzić, zresztą, kogo obchodziłby taki jak ja nędzarz, łazarz.

DOKTOR (usiadł naprzeciw i bierze go za puls) No, a jak tam dziś z apetytem?

WÓJCICKI (z uniesieniem). Dobrze.

DOKTOR. A sen?

WÓJCICKI. Wyśmienity!

JAN (zapalając lampę). A mnie to pan z rana mówił, że źle spał...

DOKTOR (puszczając rękę chorego) Czujesz się pan lepiej?

WÓJCICKI. O tak — znacznie lepiej!... (do Jana). Co ta lampa?

JAN. Mało nafty, a knot krótki...

WÓJCICKI (z niecierpliwością). To przynieście nafty, musi się palić!...

JAN. Zaraz.

WÓJCICKI. Tylko prędko.

JAN (wychodząc). Co się panu tak śpieszy! (wychodzi).

WÓJCICKI. Szelma!...

ŁANOWSKA (stawiając przed Wójcickim filiżankę herbaty, do doktora) Pozwoli pan konsyliarz filiżaneczkę?

DOKTOR. O, rączki pani dobrodziejki całuję... Śpieszę się do moich chorych.

WÓJCICKI (mięszając łyżeczką). Dziękuję pani, za trud, za dobroć...

ŁANOWSKA. Niech pan tak ciągle nie dziękuje... Jeszcze spuszczę story i, odchodzę.

WÓJCICKI (z żalem) O, już?!...

ŁANOWSKA (spuszczając story). Muszę wracać do domu.

WÓJCICKI. Ale pani nie zapomni o mnie?

ŁANOWSKA. Jutro się zobaczymy.

WÓJCICKI (z westchnieniem). Jutro... (wstaje).

ŁANOWSKA (podając mu rękę) Do jutra... Niech pan nie wstaje... (Wójcicki siada — do doktora). Do widzenia, panie konsyliarzu! (podaje mu rękę).

DOKTOR (z ukłonem) Sługa.

ŁANOWSKA (odchodzi).

WÓJCICKI (po jej wyjściu). Anielska kobieta!

DOKTOR. Widać, że dobra.

WÓJCICKI (patrząc w oczy doktorowi, nieśmiało). Chce mnie swatać...

DOKTOR (robiąc minę obojętną). Pi!... czemu nie!?...

WÓJCICKI (chwytając go za rękę). Konsyliarzu... doprawdy?!... szczerze?!... będę się mógł żenić?!

DOKTOR (wymijająco) Zobaczymy!... zobaczymy!...

WÓJCICKI (wstaje, z wzrastającą gorączką) Doktorze!... Co za szczęście!... (ściskając go za rękę) Zdrowie!... konsyliarzu! a potem żona... może dzieci... O, czuję się znacznie, znacznie lepiej... Niech mi pan wierzy!...

DOKTOR. Ale jest znowu gorączka!... Połóż się pan do łóżka.

WÓJCICKI (z trwogą) Do łóżka!.. (zbliżając się do niego tajemniczo). Konsyliarzu, wielka prośba...

DOKTOR No?

WÓJCICKI. Ale mi pan tego nie odmówi?

DOKTOR. Pi! — myślę, że nie.

WÓJCICKI. Słowo honoru?

DOKTOR. No, co takiego?

WÓJCICKI (obejmując go w pół) Mój konsyliarzu, bądź pan tak uprzejmy!... co to panu szkodzi!... niech pan jutro szepnie na ucho pani Łanowskiej... po co ma mnie swatać z drugą?! ot, lepiej, niech się ona za mnie wyda, prawda?

DOKTOR. Pewno!

WÓJCICKI. Nie?!

DOKTOR. Oczywiście.. Kobieta niczego — nie stara.

WÓJCICKI. Prawda, że niczego?

DOKTOR. Pi!...

WÓJCICKI. A jaka rozumna!... a jaka dobra! przedewszystkiem dobra, konsyliarzu! (kaszle).

DOKTOR. Dużo pan wśród dnia kaszlał?

WÓJCICKI. Mało... mój konsyliarzu, jak pan sądzisz, że mnie przyjmie, co?

DOKTOR. O, czemużby nie?

WÓJCICKI (ściskając go za ręce). Kochany!... drogi!.. zacny konsyliarzu!... Jedyny z pana człowiek!... To dla mnie wielkie szczęście!... Pomyśl pan tylko!... Te puste ściany!... Ta martwota!... Wszystko to porzucę, opuszczę!... Wynajmę inne pomieszkanie... Trzy, cztery pokoje!.. Ruch — życie — serce — serce, doktorze!... To szczęście!... To wszystko!... Jak sobie pomyślę, że ona mnie będzie całowała... że ja ją pocałuję — moją żonę!... i dzieci!... (chwytając go za rękę) Konsyliarzu, mogę ja mieć dzieci?..

DOKTOR. Na razie, myśl pan o zdrowiu, reszta znajdzie się później...

WÓJCICKI (opuszczając ręce) Później!..

DOKTOR. Usłuchaj mnie pan — idź pan do łóżka...

WÓJCICKI (błagalnie). Doktorze!... konsyliarzyku!... jeszcze chwileczkę!... jeszcze tylko dziesięć minut!

DOKTOR. To usiądź pan, przynajmniej.

WÓJCICKI. Nie, nie, nie!... niech mi pan wierzy!... Czuję, że mnie trzyma jakaś wyższa siła!... Wie pan co?... mnie się zdaje, że mnie tak trzyma moje przyszłe szczęście!... (z gorączkowym entuzjazmem) Szczęście!.. Szczęście!...

DOKTOR. Siły pan wyczerpujesz!...

WÓJCICKI. Siły?!... co mi po tych siłach!... Miałem siły i byłem żebrakiem!... nędzarzem!... byłem zawsze głodny jakiegoś innego — promienniejszego, świetlaniejszego życia!... Dziś jestem chory, a jednak czuję się lepiej!... jestem szczęśliwszy!... radość czuję!.. Konsyliarzyku — mój zacny! — prawda? — mieć rodzinę — to najwyższe... to szczyt szczytów szczęścia?!...

DOKTOR (poważnie) Zdrowie pierwsze.

WÓJCICKI. Zdrowie!.. Co warte zdrowie, gdy smutek i tęsknota rozdzierają duszę!... Całe moje życie było smutne i tęskne!... (wstrząsając się) Zimno mi!... Zimno!... Ale to nic!.. Konsyliarzu, prawda, co to za kobieta!.. Jedyna!... jedyna!.. (podnosząc w górę palce uroczyście) Przysięgam! przysięgam że ją uszczęśliwię!... Wszystko będzie miała!... Krwi z pod serca jej utoczę!... ptasiego mleka jej nie odmówię!...

DOKTOR. Pan majaczyć zaczynasz... Na noc przyślę panu siostrę służebniczkę.

WÓJCICKI. (robiąc wielkie oczy). Siostrę?!... (ze smutkiem) Nie mam siostry... nie mam brata... nikogo... nikogo... Jak ten palec sam, sam — na pustyni... (nagle) Kiedy mój ślub?... (wzrok błędny wytęża — patrzy na ręczniki wiszące nad umywalnią).

DOKTOR. Do łóżka — do łóżka — musisz się pan położyć!... (do siebie) Nieprzytomny. Stróża zaraz przyślę... (Wychodzi).

WÓJCICKI. (j. w). Ślub?! (pokazując na ręczniki). W bieli... Strój ślubny... A, welon!.. (ze smutkiem) Pani łaskawa... moje życie... wielki smutek... to nie życie!... Sam, sam... Boże!.. pani chcesz wyjść za mnie?!... za — za mnie?!... Co?... (z radością dziecka) Dziś, dziś nasz ślub?!... Teraz?!... Boże!... (innym głosem) Pani na imię... a, tak, tak — Ewelina.. nie!... Walerja... Co?... Do ślubu z tobą, z tobą, panno Walerko?!.. (z miłością) Tyś to najdroższa!... (z wybuchem radości) Wszystko było snem!.... To pani!... Walerka!... moja żona!... Ty!!... Moja!... Jaki ja szczęśliwy!... (klęka jakby u stóp ołtarza — poważnie — uroczyście — cały drżący — powoli osuwa się na podłogę — bez jęku — równocześnie lampa, gasnąca od chwili — wydaje jaśniejszy błysk i gaśnie.)

JAN (staje w drzwiach z bańką — d. s.) O, lampa zgasła...

G. VERGA.

TYGRYSICA

Powieść.

(Przekład z włoskiego).

Dokończenie.

Nie odpowiadając, patrzyła ciągle w ten sam sposób. Niepewnym ruchem wyciągnęła rękę z pod kołdry, szukała czegoś, aż nareszcie ujęła jego rękę.

— Chciałabym z tobą pomówić — szepnęła zaledwie dosłyszalnie, a on miał uczucie, jakby jej ręka ściskała mu serce. — Kochałam Carla... — szepnęła potem, starając się opanować zmięszanie.

Kilka razy poruszył ustami, ale nie mógł wydobyć z siebie ani jednego dźwięku.

— Przebacz mi! — załkała chora po dłuższem milczeniu. — Potrzebuję twego przebaczenia... Giorgio!... Winną nie jestem, naprawdę nie... Nie wiedziałam, że go kocham... i płakałam, ach. tak wiele płakałam... cierpiałam tak ciężko!... Powiedziałam mu, aby sobie pojechał... i pojechał... To nie moja wina, że uczucie było silniejszem odemnie.. że sądziłam, iż muszę.. Ale on nic o tem nie wie... przysięgam ci... Nikt nie przeczuwa, co wycierpiałam... Nie mów o tem nic Jasiowi... ani nawet mamie... Powiedz, że mi przebaczasz... powiedz, że nie będziesz o mnie myślał z gniewem... gdy sobie pójdę...

Giorgio nie był w stanie odpowiedzieć; mógł w cieniu umbrelki tylko cicho płakać. Nagle skierował światło lampy na nią. gdyż obawiał się, że majaczy i teraz zobaczył na jej we łzach skąpanej twarzy wyraz niewymownego strachu. Nie mówiąc ani słowa, pochylił się nad łóżkiem, ujął ją w ramiona i położył czoło na jej czole. W ten sposób zmięszały się ich łzy.

— Oh, jak mi to dobrze robi!... Jak to dobrze robi, gdy czuję twoje łzy, spływające mi po twarzy!... Jak to pięknie, że i ciebie widzę płaczącym!... Dlaczego ty nie płakałeś?... Od tak dawna... tak dawna... Jak to dobrze robi... Wydaje mi się, że się na nowo narodziłam... i zdaje mi się, że wyzdrowieję...

O ile on był winniejszym od niej, nie odważył się przyznać, gdyż przeczuwał, że ona wie o tem, i nie miał odwagi prosić o przebaczenie, które mu już dała milcząco.

Nie odrywając się od niej łkał gwałtownie i drżał na całem ciele.

Zmrok poranny powoli wciskał się do pokoju — tak samo jak wtedy w hotelu — i oświetlał znużoną twarz chorej.

— Musisz wyzdrowieć — szepnął Giorgio złamanym głosem. — Czy słyszysz, co ci mówię? Musisz wyzdrowieć!... I będziemy po raz drugi szczęśliwi... wyjedziemy na wieś... tam pozostaniemy razem... zawsze razem... i nikt... nikt...

— Jak mi to dobrze robi, gdy cię słyszę tak mówiącego!... A jak pięknym wydaje mi się ten brzask poranny!... Czuję, że mi lepiej... każ mi przynieść Jasia... biedny mały... pozwól mi go zobaczyć...

Giorgio wyszedł na palcach i przyniósł chłopca. W milczeniu i serdecznie uścisnęła go matka i patrzyła na niego suchemi już oczyma. Potem jej słaba i zmęczona ręka owinęła się dokoła szyi Giorgia i oboje pozostawali tak w uścisku nad różowym, zdrowym malcem, który im się przyglądał swemi wielkiemi, jeszcze rozespanemi oczyma.

— W rzeczywistości, nastąpiło znaczne polepszenie — rzekł Reudona, który przyszekł bardzo wcześnie — prawdziwe polepszenie, które uprawnia do najlepszych nadziei. Doskonale!... Może i tym razem się wymkniemy... — mruknął przez zęby.

Rozdział XVIII.

Stan zdrowia Erminji polepszał się w istocie, a po kilku dniach można ją było uważać za rekonwalescentkę.

Giorgio nie opuszczał jej ani na chwilę, czuwał nad nią tak, jak gdyby miał do naprawienia jakąś wielką krzywdę i zapominał o minionych dniach w miarę tego, jak jego żona przychodziła do zdrowia a on czuł się jakby nowo narodzonym. Był szczęśliwy, gdy patrzył na nią, coprawda jeszcze bladą i wychudłą, siedzącą na fotelu i trzymającą na kolanach synka.

Teraz mógł z niejasnem uczuciem radości pomyśleć o tej okropnej nocy, którą przepędził przy łóżku tamtej, i o tych smutnych i przykrych dniach, które potem nastąpiły. Gdy patrzył na delikatne, nieraz jeszcze drżące członki swej ukochanej żony, odczuwał jakąś dziwnie szczerą i głęboką tkliwość i pełną czułości litość dla cierpień, jakie przebyła, oraz wielkie oddanie się, głęboki szacunek dla słabej istoty, która co do swej siły dała mu taką zbawienną nauczkę.

Nie brakowało jednak chwil, w których się wstydził i, wobec niej, tak szlachetnej i skromnej, czuł się upokorzonym. Wtedy dopiero odczuwał prawdziwe szczęście, że mógł ją kochać, być przez nią kochanym i razem z nią zapominać o tem, co oboje przeżyli.

*

Pod koniec czerwca dał Reudona swoje zezwolenie na wykonanie tego znakomitego planu przepędzenia lata na wsi, który Giorgio omawiał w najrozmaitsze sposoby i uważał za jakiś arcylek. Było już za gorąco aby się udać do Tremestieri lub do Piany i Erminja zaproponowała Giarre.

Przygotowania do odjazdu były wielką uroczystością, w której wszyscy brali udział i nareszcie, pewnej niedzieli wyjechali porannym pociągiem.

Z nieba zdawało się, iż kapie jakiś pył złoty, morze świeciło się srebrnemi smugami, a ogrody znajdujące się przy kolei wydawały zapach pomarańcz, wciskający się aż do wagonu. Na dworcach wiejskich widziano chłopów w świątecznych szatach, a dziewczęta, idące drogą obok toru, witały pociąg okrzykami radości.

Na dworcu w Aci Reale znajdował się tłum wędrownych kramarzy, myśliwych niedzielnych i wieśniaków kalabryjskich, przybyłych na żniwa. Erminja, która w przedziale siedziała sama jedna z mężem, patrzyła z zajęciem na ten ruch podróżnych. Giorgio spoglądał w inną stronę.

Pociąg zatrzymał się dłużej, niż było przepisane w rozkładzie, gdyż na torze ustawiano pociąg specjalny, składający się tylko z dwóch wagonów i lokomotywy, który miał odejść wcześniej.

W tej chwili jeden z urzędników zamknął wagon, wybity wewnątrz czarnem suknem. W głębi wagonu można było zauważyć coś, co podobnem było do trumny, na której spoczywał wielki wieniec z kwiatów z czarną wstęgą.

Jegomość w żałobie zdjął kapelusz i zamieniwszy kilka słów z naczelnikiem stacji wsiadł do drugiego wagonu.

Okna hotelu napełnione były ciekawymi, spartymi na łokciach o parapety.

Erminja odwróciła się do męża i spostrzegła, że był blady i zmięszany, stojąc wyprostowany przy drzwiach wagonu i nie mogąc oderwać oczu od tego ponurego widowiska.

Lokomotywa pociągu specjalnego zagwizdała i pociąg ruszył. Giorgio stał jak skamieniały, bez ruchu, nie mogąc wymówić ani słowa. Drgnął, jakby po jego ciele przebiegł jakiś niespodziewany dreszcz, głowę wsunął w ramiona, jakby ją chciał w nich ukryć i padł na siedzenie.

I Erminja zbladła. Może przeczuwała, że ten upiór nieugięty stnanął raz jeszcze w poprzek jej drogi, aby zniszczyć wszystkie jej marzenia o spokoju, miłości i szczęściu.

Giorgio był jakby przybity i złamany, gdy nagle poczuł, że ktoś dotknął jego ręki. Był to jego chłopczyk, którego Erminja złożyła mu na kolanach. Biedny Jasio patrzył na ojca zmięszany, a ten szybkim ruchem ukrył twarz w małych rączkach syna, aby uciec przed jakiemś okropnem widmem. Potem poczuł, że i Erminja zarzuciła mu ręce na szyję.

— Biedny Giorgio — szepnęła — będziemy cię tak kochali, tak szczerze kochali.

Bez łzy jednej, bledszy niż trup, przycisnął oboje do piersi.

Gdy pociąg zatrzymał się w Giarre, podniósł ciągle jeszcze bladą twarz i oddychając ciężko spojrzał dokoła siebie, jakby się zbudził z długiego przykrego snu.

Pociąg żałobny, który jechał przed nimi, niknął właśnie w tunelu, a dym wychodził jeszcze z otworu i w dartych, cienkich płatach sunął pod niebo.

Było to wszystko, co pozostało jeszcze z przeszłości.

*

Gdy przybyli do siebie do domu, znalazł Giorgio telegram, posłany za nimi z Catanji. Prócz adresu i daty zawierał tylko jedno słowo: Addio!"

Wiadomości artystyczne i literackie.

Sztuka ludowa. „Familja" zalecona na konkursie „Kurjera warszawskiego" wystawiona zostanie w Warszawie 14 bm.

Otwarcie sezonu zimowego w teatrze w Płocku odbyło się w zeszłą sobotę.

Sonety i ghazele. W Łodzi wyszedł pod powyższym tytułem tom poezyj ś. p. Juliana Łętowskiego, ozdobiony portretem autora.

Odeski klub literacko-artystyczny, jeden ze swych wieczorków tygodniowych w b. m. poświęcić ma Henrykowi Sienkiewiczowi. Charakterystykę autora „Krzyżaków" wygłosić ma jeden z miejscowych literatów rosyjskich.